

PAWEŁ ROSENHAYN.

## „PALADYN“

Lodowate fale Skagerraku silnie miotają małym parowcem „Telemarken“. Tu, u północnego przylądka Dani, ścierały się ze sobą fale morza Wschodniego i Północnego w zapamiętałą jakiejś walce, a wyjąca burza wiosenna piętrzyła je w potężne wały i roztrzaskiwała wśród kłębow piany. Ale mały parowiec przebył już najgorsze. Wprawdzie ster wykazywał dotkliwe ślady burzy, a na pokładzie widać także było jej działalność, ale miotanie statkiem stawało się już coraz słabsze, a fala coraz rzadziej przetaczała się przez pokład.

Dym parowca, rozciągnięty w długi poszarpany sztandar, z wolna zmieniał swój kierunek i układał się w poprzek okrętu ponad łodziami ratunkowymi, kołyszącymi się w swych łóżykach. „Telemarken“ przybierał kurs ku zachodowi. Jeszcze kilka silnych fal uderzyło o okręt i podniosło go do góry, ale wnet statek wpłynął na spokojniejsze wody norweskie, rozciągające się jakby ochronne ramiona matki koło południowych brzegów skandynawskich.

Na pokładzie z wolna zaczęło się budzić życie. Podróżni, którzy przed szaleństwem burzy pochowali się po kajutach, zaczęli powoli jeden za drugim wychodzić na zewnątrz. Na białych twarzach znać było jeszcze strach nieprzespanej nocy. Służba okrętowa zjawiła się z dymiącą herbatą, skwapliwie wyciągnęli się po nią ręce i wnet zaróżowiły się policzki i jaśniej zaczęły spoglądać oczy.

Kapitan spojrział ku wschodowi i uśmiechnął się: ponad poszarpanymi skałami bazaltowymi zaczęły się ukazywać pierwsze brzaski świtu.

Na mokry pokład wysunął się po schodkach jeden z podróżnych i odetchnął głęboko. Potem rozglądał się w okół, jakby kogoś szukał, podsunął się do mostku kapłana, podniósł na powitanie rękę do kaszkiełu i zawołał:

— Hallo! Panie Jenkins, czy pan tam stał cały czas?

Na mostku obok kapłana stał mężczyzna w długim płaszczu gumowym. W odpowiedzi na powyższe pytanie skinął on głową z uśmiechem i poklepał kapłana po ramieniu.

— Tak jest — rzekł — my dwaj przetrzymaliśmy!

Odsunął zasówkę od pomostu i wolno zszedł po schodkach na pokład.

— No, a pan, panie Blomdal? — zapytał.

Zapytany uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Aha, więc jeśli dobrze przypuszczam, siedział pan w jadalni.

Pan Blomdal skrzywił się.

— W jadalni? — zawołał — O nie. Poszedłem do łóżka, położyłem się i nakryłem głowę kocem.

Jenkins roześmiał się.

Blomdal z komicznym wyrzutem spojrział na tego amerykańskiego detektywa, który go przerażał prawie o głowę.

— Łatwo się panu śmiać. — zawołał — Jeśli na oceanie czuje się pan jak u siebie w domu, to taki kawałeczek Skagerraku nie imponuje panu!

Amerykanin wydobył z przepaścistej kieszeni swego płaszcza krótką fajeczkę i zaczął ją z uwagą nakładać tytoniem.

— Jeśli pan nie znosi morza — rzekł po chwili — to czyż nie lepiej siedzieć wygodnie w domu, na stałym lądzie?

Zapytany potrząsnął gniewnie głową.

— Ja też nie jeżdżę dla przyjemności — odparł — ja muszę jeździć, rozumie pan, muszę podróżować, gdyż tego wymagają moje interesy!...

— Czy ma pan może zapalki? — zapytał Amerykanin obojętnie.

Norweg gwałtownie dobył zapalniczkę i podsunął detektywowi płomień.

— Dziękuję — skinął Joe Jenkins i dmuchnął potężnym obłokiem dymu.

— ...A zresztą, ja wogóle nie rozumiem pa-

na, panie Jenkins. Jeśli rzeczywiście jest prawdą, co mi pan mówił o swym podróżowaniu dla przyjemności, to mógłby pan teraz siedzieć wygodnie w pięknej Kopenhadze, słuchać co wieczór wspaniałej opery i codziennie flirtować z pięknymi kobietami. Tymczasem panu się zachciewa widzieć konieczne fiordy i aby przepłynąć Skagerrak, wyszukuje pan właśnie czas burzy!... Zwaryowani ci Amerykanie!... pan wybacz.

— Ależ proszę — roześmiał się detektyw — niech się pan nie krępuje. Ale ja już jestem taki. Bez tej odrobiny niebezpieczeństwa cała podróż nie sprawiałaby mi przyjemności. Tymczasem uczuwam wyraźnie apetyt na whisky. Chodź pan ze mną, panie Blomdal, zapraszam pana.

Brzegi przybliżyły się, mgła zaczynała ustępować.

Obaj mężczyźni doświadczonymi krokami podróżników okrętowych zeszli po schodkach do salonu dla pałających.

Chłopiec okrętowy przyniósł pełne szklanki.

— Wie pan co, panie Jenkins — zaczął Norweg i pociągnął spory łyk — wie pan, ja już dużo słyszałem o panu i o pańskich przygodach. Może pan sobie wyobrazić, że nie mało mi to zaskoczyło, gdy usłyszałem pańskie nazwisko i że bardzo pragnąłem poznać się z panem. To, co o panu słyszałem, to — mówię szczerze, mam uczucie, że zawsze miał pan tylko olbrzymie szczęście.

— Szczęście? — powtórzył Amerykanin — O ile szczęście?

— Otóż ja przypuszczam, że zawsze miał pan do czynienia z ludźmi, nad którymi już z góry miał pan przewagę.

— Sądzi pan?

— Miewał pan łatwą grę, panie Jenkins, szczęśliwy zbieg okoliczności pomagał panu. Przypuszczam, że gdyby pan pewnego dnia natknął się na kogoś z tej drugiej połowy ludzi, że się tak śmiem wyrazić, z tej, że tak powiem mądrzejszej połowy, to kto wie, czy dałby pan sobie radę...

Detektyw spoglądał obojętnie w małe okragłe okienko okrętowe, w którym w rytmicznych odstępach pojawiała się zielona fala i znikala. Po jego twarzy błędził nieokreślony uśmiech. Z wolna zwrócił się do swego towarzysza, spojrział mu w twarz i rzekł:

— Pan myśli o tem, że może pewnego dnia będę miał z panem do czynienia, panie Blomdal? Blomdal uśmiechnął się.

— Może. — odpowiedział — Może być, że myślałem o sobie.

Detektyw kiwnął głową i zaczął z uwagą przypatrywać się lampie mosiężnej, kołyszącej się na sznurze.

— Pan myśli — zaczął z wolna — o dymentcie, który...

Blomdal wstał z krzesła, skrzyżował ręce na plecach i krótkimi krokami przeszedł się kilka razy po małym salonie. Nagle zatrzymał się przed Amerykaninem i rzekł:

— Nie prawdaż, panie Jenkins... aby wydość „Paladyna“, opłacić się może mała podróż dla przyjemności?...

Detektyw ruszył ramionami.

— Przypuszczam. — rzekł — Ale to nie będzie łatwym, prawda?

— To więcej niż pewne. Już kilku połamało sobie na tem zęby!

Przechylił szklankę do ust i wypił resztę jedynym tchem.

— Wszyscy połamali sobie na tem zęby, wszyscy. I mówię panu, panie Jenkins, pana czeka to samo. Gwarantuję panu! Z tej podróży dla przyjemności — tu roześmiał się szyderczo — powróci pan z próżnymi rękami do mojej żony!

Joe Jenkins patrzył z uwagą na błyszczące główki gwoździ, które wybita była podłoga kajuty.

— Więc sądzi pan na prawdę — zapytał — że jadę do Chrystyanii, aby panu „Paladyna“ odebrać?

Blomdal spojrział na niego bystro.

— Ani na chwilę nie wątpię o tem — rzekł ostro — usłyszawszy pańskie nazwisko.

Amerykanin roześmiał się.

— A więc mielibyśmy wypadek, o którym

pan przedtem mówił. Więc znalazłbym przeciwnika godnego siebie. Ale skoro zna pan moje zamiary, więc przyznam się panu: ma pan rację. Walczmy więc z otwartymi przyłbicami! Wszystko jest tak, jak pan przypuszcza: pańska żona poleciła mi wydostać „Paladyna“. Mam jej oddać jej własność, którą pan zatrzymuje bezprawnie.

Norweg zmarszczył brwi.

— Jeśli moja żona ma dowody w rękach, że „Paladyn“ do niej należy, to dlaczego nie odbierze go sobie sądownie?

Amerykanin spojrział ostro w oczy Blomdalowi.

— Pan wie dokładnie, dlaczego pańska żona tego nie robi: nie chce publicznego skandalu, jaki proces musiałby wywołać. I to proces, który musiałby pan bezwarunkowo przegrać, panie Blomdal.

— A w którym to procesie cały świat dowiedziałby się, że przyłapałem moją żonę z jej kochankiem!

— Zupełnie słusznie. Przynajmniej tak to wówczas wyglądało... Ale niezawodnie wie pan tak samo dobrze, jak i ja, że były to pozory, jak się to nieraz zdarza i że tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż wprawdzie znalazł pan swoją żonę w pokoju jej przyjaciela z lat młodości...

— Tak, tak, już wiem, co mi pan chce powiedzieć. W to można wierzyć i w to można nie wierzyć. Ja osobiście nie wierzę. Trzymam się tego, co widziały moje oba oczy. Zresztą krótko i węzłowo: „Paladyna“ nie oddam.

Detektyw kiwnął potakująco głową.

— Nie spodziewałem się czego innego — rzekł — a jednak obawiam się, że pańskie ostrożności na nic się nie przydadzą.

— Co to ma znaczyć?

— Otóż, ja sądzę, że do trzech dni będę miał „Paladyna“ w rękach.

Na okręcie rozlegały się trzy uderzenia w gong. Norweg spojrział pytająco.

— To dopiero pierwszy znak — rzekł Jenkins spokojnie — mamy jeszcze czas.

Na schodkach dały się słyszeć kroki, kilku zgłodniałych podróżnych wiloczyło się do sali.

— Ciekawy jestem — zaczął Blomdal z zamysleniem — jak się pan do tego weźmie. Może za pośrednictwem policyi? Otóż sądzę, że w tym względzie nie potrzebuje się pan łudzić. Legalnej drogi do zabrania mi „Paladyna“ nie ma wogóle, panie Jenkins!

Amerykanin kiwnął ręką przecząco.

— Wcale nie myślę o tem, aby się zwracać do policyi.

— Więc to znaczy, że chce się pan włamać? — zawołał Blomdal i roześmiał się serdecznie. — A no, to próbuj pan! Niech mi pan pobię, jeśli pan może. Zabezpieczyłem mój dom przed takimi wizytami. Wszystkie pokoje, wszystkie drzwi, wszystkie stopy zaopatrzone są w dzwonki elektryczne, każdy niepowołany krok w moim domu zaalarmuje służbę. Kasa pochodzi z pierwszorzędnej fabryki. Nie, panie Jenkins, proszę nie liczyć na to, aby mię pan podszedł!

Detektyw zaczął się śmiać.

— Ja też wcale nie mam zamiaru podchodzić pana. Najprawdopodobniej, według wszelkich form, podam panu godzinę, a nawet minutę, w której zabiorę „Paladyna“.

— Pan robi żarty.

— Ani mi to w głowie — oświadczył Jenkins spokojnie.

Gong rozległ się po raz drugi. Obaj podnieśli się z miejsc.

— Nie, panie Jenkins — zawołał Blomdal i zaczął się głośno śmiać — to jest wyborny żart z pańskiej strony! Zapraszam pana na flaszke Pommery.

— Tak to lubię. Ma pan humor. Jest pan godnym mnie przeciwnikiem. I cieszę się, że będę mógł z panem skrzyżować szpadę.

Norweg stanął nagle i spojrział Amerykaninowi w oczy.

— Pan powiedział, że poda mi pan godzinę swych szanownych odwiedzin?

— Godzinę i minutę.

(Ciąg dalszy nastąpi).